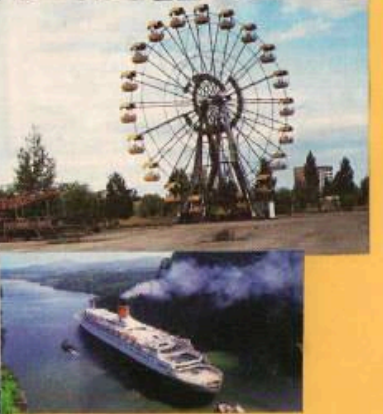


2 MiSZ

M
a
s
z



K.P. 14.08.13

Adam Cebula "Świat przedstawiony, rzeczywisty, niewirtualny i sieczka w głowie"

Fahrenheit Crew

Przeczytałem i natychmiast pomyślałem o Czerwonym Kapturku. Oj, zaczyna się kłopot. Poważny...

Rzeczywistość alternatywna jest jednym z odkryć nurtu dosyć podłej, bo do bólu rozrywkowej literatury wywodzącej się z SF i fantasy. Z niejakim zdumieniem odkrywam (zdawało mi się tylko, że już odkryłem...), jak wielki wpływ na tak zwane myślenie, ba pewnie intelektualną kondycję współczesnego człowieka, ma ten wynalazek. Ze zdumieniem, albowiem daremność dumania o tym, co by było, gdyby ciotka miała wąsy, jest zawarta właśnie w tymże powiedzeniu.

Dlaczego nie? Dlaczego tworzenie światów alternatywnych ma, jak to się mówi, "nikłą wartość poznawczą"? Bo z reguły znamy tylko nikłą część rzeczywistości. Nie znamy mechanizmów, nie mamy danych, które pozwoliłyby oszacować bieg wypadków. Co prawda - chaos rozumiany jako "efekt motyla" to nieporozumienie. To nie jest tak, że jeśli Marysia Jasiowi daje kosza przed bitwą, to ów, zdesperowany, zgodnie z piosnką o rozmarynie, w pojedynkę bitwę wygra. Tak nie jest, ale, powiedzmy sobie szczerze, dlaczego wyszło jak wyszło, nie jak zwykle, zwykle nie rozumiemy. Widać to w tym, jak się zmieniają opinie. Dlaczego?

Dlaczego Niemcy przegrały kampanię w ZSRR? Cóż, zostałem wychowany w bogoojczyźnianej opinii, że to dzieło Matki Boskiej. Pewien udział mieli pewno też Amerykanie ze swoim "drugim frontem", czyli konserwami. Jakiś niewielki udział mieli także krasnoarmiejcy. Ale tym udziałem zwyczajnie nie warto się zajmować. Tak mię wychowano w czasach komuny.

Przeżyłem niejakie zdziwienie, oglądając ostatnimi czasy programy na kanale National Geographic, poświęcone właśnie temu, dlaczegóż to jednak ruskie pobiedili. Cóż, sami producenci II frontu przyznają, że przedmiot niewybrednych kawałów, czyli T-34 był najlepszym czołgiem II wojny światowej... Do myślenia dało mi także to, że konstrukcja zwana "katiusza" przetrwała w różnych armiach właściwie do dnia dzisiejszego.

Przyznam szczerze, że także mocno się zdziwiłem, gdy obejrzałem angielski film o dywizjonie 303. Więc jak, to wszystko PRAWDA?

Niestety, musiałem się na stare lata przyzwyczaić do myśli, że świat nie jest prosty. Jak mówił Kwinto: trzeba było uważać. Trzeba uważać, analizować, wsłuchiwać się. Wszelkie ideologie i wynikające z nich schematy i uproszczenia trzeba traktować bardzo podejrzliwie. Jak mawia mój stryj: ostrożny elektryk żyje trochę dłużej. Zapamiętałem sobie na całe życie kilka takich przypadków: wyłączyliśmy prąd w budynku, ale nieraz pokopany dla uspokojenia sumienia sprawdzam druty próbówką i ta ŚWIECI, CHOLERA.

Elektryczny przykład niejako przy okazji daje nam dosyć dramatyczny powód do tego, by zajmować się rozumieniem świata; aby ciut dłużej żyć. Aby nie dać się nabrać na jakieś hasła, że bezpiecznie, bo korki wykręcili, jeśli nosimy ze sobą próbówkę i umiemy się nią posłużyć, wykryjemy na czas, za jakie druty nie łapać.

Myślenie jest takie: jeśli na przykład dramatycznie poszkapiliśmy się w ocenie wagi dokonań krasnoj armii, to musimy uważać na wszelkie współczesne oceny idące tym torem. Owa nikła wartość poznawcza wynika z tego, że budowniczy posługują się modelami rzeczywistości, w których

błędnie przypisano znaczenia, błędnie zestawiono mechanizmy, narzucono implikacje, które siedzą tylko w ich głowach, a których nigdy nie uświadczono w rzeczywistości.

Z gdybania „co by było, jakby historia potoczyła się torem alternatywnym” naprawdę mało co wynika. Ot, „gdyby Niemcy wygrali II wojnę światową”... Sęk w tym, że układ sił po walce musi wynikać z tego, co się wyniosło z walki. Ile wojska uratowało się z wojny z ZSRR, tyle mogłoby służyć choćby do trzymania zdobytych terytoriów za pysk. Niestety, wygląda na to, że szansa, że ze wschodniej awantury Niemcy wyszliby z jakimiś rozsądnymi ludzkimi zasobami, była zwyczajnie marna. Powód, dla którego państwa Osi przegrały, był banalny: dramatyczna przewaga aliantów. Założenie innego biegu historii wymaga założenia zupełnie innego, abstrakcyjnego układu sił, jaki istniałby w tamtym świecie.

Pochód Niemiec na Zachód zakończył się na kanale La Manche. Powodem przegranej bitwy o Anglię było zbyt kiepskie lotnictwo III Rzeszy. Stan sił był taki, że gdyby Hitler zdecydował się na ruszenie barek desantowych, doszłoby do masakry na wodzie. To w sytuacji, gdy na wschodzie mamy "sojusznika" w postaci bolszewików. Stalin musiałby być łatwowiernym idiotą, aby uwierzyć w sojusz z nazistami, którzy swoją karierę polityczną zaczynają od wyrznięcia komunistów. Nie wiadomo, czy Hitler zdawał sobie sprawę, że nie może sobie pozwolić w takim układzie sił na pyrrusowe zwycięstwo, ale rychło objawiło się to, co było podstawą klęski: za mało zasobów. Ludzkich. Najpierw zabrakło wykwalifikowanego wojska, lotników, czołgistów, marynarzy, potem już jakichkolwiek ludzi zdolnych do noszenia broni. Na końcu bił się słynny Volkssturm, po prostu wojska niemieckie zostały fizycznie wybite do nogi. Zabrakło stali, ropy, aluminium.

Jakiegokolwiek byłoby rozstrzygnięcie bitwy o Anglię, wojna z ZSRR wisiała na włosku. Wynika to bynajmniej nie z osobowości wodzów, czy nawet chyba dość zasadniczej okoliczności, że czerwoni byli dla nazistów śmiertelnymi wrogami. Po prostu mieliśmy ustawione obok siebie dwa imperialistyczne państwa, których jedynym sensem był podbój. Czysta pragmatyka nakazywała atakować, gdy przeciwnik osłabnie.

Klęska Niemiec wisiała w powietrzu już w momencie ataku na ZSRR. Proporcja liczby ludności była ok. 2,4 dla Rosjan. Liczba czołgów - Niemcy (za Wikipedią) mieli ich 2928, Rosjanie... 23 197, w tym ok. 500 ciężkich czołgów KW 1 i KW 2. Tych z armatą 155 mm, których pancerny przebiła jedynie słynna niemiecka armata plot "ach und achtzig". Niemcy zaatakowali (za Wikipedią) 868 samolotami przestrzeń, w której mogło operować od 7 do 9 tysięcy samolotów bolszewickich. W sumie na wyposażeniu krasnej armii było 20 000 (znów za Wikipedią) samolotów, a przemysł lotniczy przez cały czas wojny miał większą produkcję niż niemiecki.

Patrząc na te proporcje, pomysł realizacji planu Barbarossa był mniej więcej tak mądry, jak (być może zmyślone) zabawy indiańskich chłopców, które polegały na tym by podlecieć do grizzly i dać mu w pysk. Z taką wszakże różnicą, że Indianiec natychmiast zwiewał, a hitlerowcy wręcz odwrotnie...

Można powiedzieć, że historia II wojny światowej potoczyła się maksymalnie alternatywnie. Wszystko, co mogło pójść źle, poszło. Gdyby Stalin nie wyróżzył swoich dowódców i nie ignorował ostentacyjnie ostrzeżeń Anglii o nadciągającej ofensywie, gdyby choć trochę się przygotował, pewnie już pierwsze tygodnie przyniosłyby jakiś Stalingrad. Gdyby alianci we Francji nie zakładali, że inwazja będzie prostym powtórzeniem planu z I wojny światowej, wzmocniliby słabe miejsca Linii Maginota i kampania trwałaby dużo dłużej, a być może na tym by się skończyło. Aby rozpatrywać jakieś alternatywy dalej idące, trzeba byłoby zmienić rozmiar ZSRR, potencjał gospodarczy USA czy Anglii. Tak, Niemcy miały szansę zatrzymać wywózkę sowieckich fabryk za Ural, gdyby mieli bombowiec strategiczny. Ale nie mieli, bo wydusili ze swego przemysłu wszystko, co było można.

Słowo się rzekło, historie alternatywne zyskują na popularności. Oto wygrzebałem w osobliwym dość czasopiśmie URZE tekst na temat: co było, gdyby z przewrotem majowym wyszło jakoś inaczej. Tekst ukazał się dość dawno (<http://www.uwazamrze.pl/arttykul/803703.html>, dostępny w dniu 16.11.2013) Autor zajmuje ukazaniem, jakby to było lepiej, gdyby to nie piłsudczycy, a endecy trzymali władzę. Podobno byłoby lepiej. A, to dlatego, że endecy nie wierzyli w powodzenie projektu zwanego społeczeństwem multikulturowym. Ups... Był taki projekt? Ciekawe...

Mnie się zdawało, że Polska - powstała po zaborach, w znacznej części jako kolejne państwo mające rozwozić potęgę Niemiec i zapewnić sprzyjający interesom aliantów porządek w Europie Wschodniej - szamotała się z zastaną rzeczywistością, jak mogła. Niestety, nawet gdyby ktoś wysmażył taki program, to jego realizacja mogła się odbywać najwyżej na poziomie werbalnym. Nie było nigdy budowy społeczeństwa wielokulturowego, była próba zlepiania tego, co zastano, do jakiegoś akceptowalnego kompromisu między palącymi potrzebami a możliwościami.

Zdaniem publicysty URZE, o ile dobrze zrozumiałem (jakże to zrozumieć inaczej?), przedwojenna Polska zostawiała zbyt wiele wolności ludności ukraińskiej. Niby chodzi o to, że zakres represji był źle dobrany, że trzeba było albo wyraźnie odpuścić, albo być poważnie bardziej represyjnym. Rzecz w tym, że tak zwani patrioci starali się za wszelką cenę zablokować narodowe aspiracje innych nacji. Polityka taka ponoć miała być najgłupszą z możliwych. Cóż, moja rodzina oraz rodziny wielu moich znajomych zetknęły się z nią i niewątpliwie dałoby się prowadzić sprawę znacznie głupiej: zostawić jeszcze mniej wolności.

Nie wiem, skąd wziął się pomysł, że represjonowana ludność zachowa się tak, jak przewidujemy. Doświadczenie uczy, że zwykle ma ona w takich okolicznościach własne pomysły i to na ogół takie, które raczej nie chcielibyśmy, aby przechodziły jej do głowy. A przychodziły - i opisał to Sienkiewicz. Prawdopodobnie raczej piłsudczycy swoją "liberalnością" (bo np. ludność ukraińska była faktycznie zmuszana do nauki języka polskiego) uchronili młode państwo przed etnicznymi problemami.

Cóż, zdaniem URZE, endeckie rządy zaproponowałyby w sprawie mniejszości żydowskiej? "Masowa emigracja do Palestyny lub gdziekolwiek, choćby na Madagaskar, zostałaaby przyjęta entuzjastycznie i przez chłopów, narzekających na żydowskich pachciarzy, i przez pośredników, i przez aspirującą do wolnych zawodów młodzież." Wyjaśnijmy, że Madagaskar występował także w propagandzie hitlerowskiej. Jednym z powodów przyjęcia "Endlösung" było to, że ów Madagaskar, czy gdziekolwiek indziej, był nierealny.

Chyba najbardziej paradne jest uzasadnienie pomysłu, by współpracować z faszystami. Mówimy "realizm polityczny". Cóż... Skąd pomysł, że lepiej byśmy wyszli, trzymając z tymi, co wymordowali jakieś 5,6 miliona Polaków, przeciw Rosjanom, których w najbardziej pesymistycznych remanentach cenimy na jakieś pół miliona ofiar? "Największym wrogiem Polski pozostawał komunistyczny Związek Sowiecki, który już od połowy lat 30 masowo eksterminował Polaków, nawet komunistów, za sam fakt bycia Polakami." Otóż nie. Pod koniec lat trzydziestych to było jasne: mamy problem z Niemcami.

Całe nieszczęście w budowaniu różnych alternatywnych historii polega na tym, że ludziom się coś wydaje. Na przykład kto był śmiertelnym wrogiem, a kto tylko złodziejem skłonny po zrabowaniu łupu dać sobie spokój.

Gdy chodzi o alternatywną historię Polski, to pozwolę sobie powrócić do pewnego zagadnienia: dlaczegóż to historycy, czy raczej "historycy", miotają się pomiędzy diabelską alternatywą: sojuszem z hitlerowcami albo bolszewikami. Owszem, zawarliśmy zamorski sojusz z Anglią i ciut mniej egzotyczny z Francją. Z Anglią mieliśmy nagrabione za robotę naszej dwójki, która - jak gminna plotka niesie - szkoliła Żydów do walki w Palestynie. Francja nie była zbyt chętna do bitki o Gdańsk.

Cóż, mieliśmy pod bokiem jednego naturalnego sojusznika. Wyprodukowali go nam sami Niemcy żądaniami terytorialnymi: to Czechosłowacja. Zupełnie odrębnym zagadnieniem jest, czy ten sojusz był do zawarcia. Czechosłowacja wyraźnie prosowiecka i Polska, która całkiem niedawno spuściła manto krasnoarmiejscom i awanturowała się o Zaolzie.

Były wielkie przeszkody, ale też i bardzo silny argument: alternatywą sojuszu z Polską dla Czechosłowacji był układ monachijski i faktyczna likwidacja. Można oczywiście gdybać, czy sojusz byłby w stanie powstrzymać Niemcy. Pozwolę sobie zauważyć, że przebieg kampanii wrześniowej nie za bardzo wynika z "miażdżącej przewagi". W ludziach proporcja wynosiła 1,8:1 - oczywiście dla Niemiec - przewaga w samolotach i czołgach wynosiła 1:3. Można dodać, że przewaga technologiczna nie była, jak się zwykle pisuje, miażdżąca. Proporcja zestrzeleń w starciach lotników bywa podawana ok. 0,9 na niekorzyść naszych. Dla Brygady Pościgowej podaje się zestrzelone 43 samoloty niemieckie przy stratach własnych 38. Chyba raczej trzeba przyznać, że choć przewaga techniczna jest niekwestionowana, to nie ona zdecydowała. Słynny Messerschmitt Bf 109 miał np. maksymalną prędkość ok. 470 km/h, a jednak w starciach z polskimi samolotami, nawet P-7 wolniejszym o 170 km/h, przegrywał.

Nie widać powodów tak efektywnej klęski w porównaniu zasobów. Polskie zdolności mobilizacyjne wynosiły ok. 2,5 miliona. Nie było zaskoczenia: Niemcy deklarowały agresywną politykę. W niektórych dziedzinach mieliśmy znaczną przewagę, np. "rozkrminienie Enigmy". To, że opór Polaków trwał faktycznie kilka dni, a potem przemienił się jak zwykle w heroiczną walkę straceńców, to wynik tego, że na przykład dowódca ORP Orzeł po kilku akcjach stwierdził, że na wojnie strzelają i mogą zabić. Na skutek tego doznał migreny i skierował okręt do portu, w którym z pewnością zostanie internowany. Niestety, komunistyczna wersja historii, że generalnie nawaliły elity, bo np. olano nowoczesne bronie w planach wojennych, wydaje się bliska prawdy. Lotnictwo praktycznie wycofano z kampanii po 2 tygodniach, nie przygotowano połowych lotnisk, a słynny polski karabin przeciwpancerny utknął gdzieś w magazynach.

Można przewidywać, że gdyby Polska była nieco mniej sobiepańska, konikowo-szabelkowa i ułańska, gdyby się dogadała z Czechosłowakami, to pewnie pi razy drzwi, biorąc pod uwagę, że ten kraj liczył ok. 14 mln ludzi, nasz potencjał obronny wzrósłby o jakąś 1/3 w liczbach prostych i bezwzględnych. Po naszej stronie byłoby na przykład 218 niezłych czołgów LT vz. 35, które Niemcy z radością łyknęli do swej armii. Czechosłowacja dysponowała także lotnictwem, różne źródła podają, że ich armia dysponowała ok. 500 samolotami bojowymi i łącznie z innymi było ich 800. Zdolności produkcyjne czechosłowackiego przemysłu lotniczego były większe niż francuskiego.

Pozwolę sobie pominąć gdybologię, co wart byłby żołnierz armii czechosłowackiej, problemy z mniejszością niemiecką, i tak dalej. Żołnierz prawdopodobnie zachowałby się jak każdy żołnierz walczący o swoje w sytuacji, gdy miałyby szanse. Czesi, co pokazał w Dywizjonie 303 słynny sierżant Frantisek, potrafili być wzorem bitności. Niemiecka mniejszość to kwestia umiejętnie przeprowadzonej rozgrywki.

Istotne jest coś innego: na oko widać, że ten sojusz zmieniłby znacząco układ sił. Z jednej strony zwyczajnie zwiększał siły antyhitlerowskie, z drugiej wnosił nowoczesne (w każdym razie wyraźnie lepsze technicznie) uzbrojenie, wreszcie odbierał Niemcom taktyczne atuty. Niemożność okrążenie Polski, perspektywa walki na trudnym, być może umocnionym wcześniej, górzystym terenie Czechosłowacji, która w przeciwieństwie do nizinnej Polski fatalnie nadawała się do prowadzenia wojny błyskawicznej - to wszystko mogłoby zwyczajnie postawić inwazję na taki sojusz w kategorii "najpewniej nieopłacalne".

Przez wiele lat podręczniki, a potem propaganda, pompowały nam do głów obraz osamotnionej Polski ustawionej między sowietami i nazistami niczym między młotem i kowadłem. Przez wiele lat

zajmowano się, gdy podchodzono do tematu, co ewentualnie można byłoby zrobić, jedynie "diabelskimi wyborami": albo sojusz z hitlerowskim diabłem, albo z bolszewickim szatanem. Niczego innego nasi historiozofowie (boć przecie mądrzejsi od historyków...) nie widzieli. Nic im innego nie wpadło do głowy. Bo?

Nie sądzę, że chodzi o Zaolzie. Sądzę, że zwyczajnie w mocarstwowym myśleniu zajmowanie się jakimiś "Pepikami" zwyczajnie się w nagrzonej rodzimą okowitą szlachciurskiej pale nie zmieściło. Niestety, nie mieści się i dziś w wygolonej na łyso ale też i bywa, w pale zaopatrzonej we fryzurę wymuskaną przez dobrych fryzjerów i przykrytych modnym ostatnio i drogim kapeluszem.

Jak się bliżej przyjrzyć, to historia jest zbiorem epizodów tak głupich, jak pomysł atakowania przeciwnika drobne dziesięć razy silniejszego. Jak długi wykład z rachunku prawdopodobieństwa trzeba byłoby robić owym bohaterskim pomysłodawcom, żeby zrozumieli, że w rzeczywistości to powszechny bałagan i głupota dopuszcza Termopile czy bitwę w dolinie Otumby, ale w skali planu Barbarossa to se ne da? Jak się przyjrzyć, to historia jest zbiorem opowieści o tym, jak człowiek znajduje młotek i wali się nim po swej łysej pale, wsadza palce do kontaktu, strzela sobie w stopy, z zapalem rżnie gałąź, na której siedzi. Jak się przyjrzyć, to ludźmi z pozoru inteligentnymi szarpią, bo nie kierują, raczej targają i miotają prymitywne instynkty.

Tak mi się zdaje, że zbiór reguł, pomysłów na podejmowanie decyzji w tak zwanych "określonych warunkach historycznych" w istocie jest zbiorem emocji. Nie lubimy ruskich, bo nie. Pepiki są Pepiki, Ślązak to Niemiec, zaś wszelki wątpliwości sprowadzają się do "łociec, prac?".

Na tej podstawie budowane są decyzje o historycznym znaczeniu. Ruscy mają dziesięć razy więcej samolotów, prawie siedem razy więcej czołgów? Zadaniem "analityka" partii narodowosocjalistycznej jest - używając pojęć typu "żydzi" i „bolszewicy” oraz "analiza" czy kalkulacja - uzasadnić, że Ruskich należy zaatakować. Analitykowi wyrosłemu w naszych polskich tradycjach nie może w głowie postać pomysł zawierania sojuszy z partnerami niegodnymi nas, średniej wielkości mocarstwa światowego. Ów analityk może rozpatrywać tylko partnerów należących do naszej sfery towarzyskiej, jak Anglia czy Francja.

W realnym świecie starannie wyliczona akcja dania w mordę silniejszemu i podcinania gałęzi, na której się siedziało, kończy się zgodnie z prawami fizyki. Tak mnie więcej jak wsadzenie palca do dziurki kontaktu czy położenie tegoż palca na kowadle i walnięcie w niego młotkiem. W realnym świecie głupota w określonych warunkach jest weryfikowana. W pewnym momencie odzywa się fizyka, nie daje się pokonać gigantycznych odległości na rosyjskich równinach, gdy spadnie listopadowy deszcz, i drogi zmieniają się w bajora.

W realnym świecie bardzo często wyłazi odległość, jaka dzieli wyobrażenie o świecie, od rzeczywistości. Co ciekawe, zwykle okazuje się, że owo wyobrażenie jest budowane jak opowiadania, państwo wybaczą, fantastyczno-naukowe. Najważniejsza jest realizacja pewnego pomysłu, który ma wartość jedynie estetyczną. Tak, najważniejsze jest zabawienie czytelnika. Dla tego zadania jesteśmy w stanie poświęcić dbałość o realia. Tak jak w opowiadaniu SF, tak w planie Barbarossa, czy nieszczęsnym planie obrony Polski, musielibyśmy użyć kołka do zawieszenia na nim niewiary czytelnika. W obu znalazły się elementy fantastyczne, jak owe wiedźmy czy duch króla w poważnych dramatach Szekspira. Na scenie Hamlet jest wiarygodny, w realu musielibyśmy odesłać go do czubków. Na scenie wierzymy trzeciemu widmu, że:

"Nie tknie Makbeta żaden cios morderczy,
Póki Las Birnam ku Dunzynańskiemu
Wzgórzu nie pójdzie walczyć przeciw niemu".

Po wyjściu z teatru powinniśmy umieć odpowiedzieć, jaka jest rola kompozycyjna czarownic i widm, i że autor nie zajmował się tym, czy przepowiednie się sprawdzają.

Istnieje grupa zwana Grupą Czytelników. Ludzie ci są już gatunkiem wymierającym. Mają wszakże dość podstawową wiedzę, a mianowicie, że ludzki rozum ma tendencję do zniekształcania rzeczywistości, i to nie byle jak, ale zgodnie regułami, które znane są jak tak zwane środki wyrazu. Na przykład personifikacja. Wilk w „Czerwonym Kapturku” musi gadać, aby akcja miała sens. Czytelnik rozumie zabieg personifikacji i dlatego nie tylko nie oczekuje, że schwytyany wilk wygada się, co z babcią. Co więcej, pomimo, że wie że wilk nie człek i nie gada, odczyta przesłanie.

Czytelnik „Rakietowych szlaków”, „Opowieści o pilocie Pirxie” i znawca problemów polowań na kurdle wie coś takiego, że rzeczywistość alternatywna nie da się traktować jak "poważne" dywagacje, co by było, gdyby Brutus z kumplami nie zarżnęli Cezara, nasz kochany Napoleon nie przetrwał pod Waterloo, a rząd II Rzeczypospolitej zamiast radośnie poprzeć pakt monachijski, zawarł układ wojskowy z Czechosłowacją. Czytelnik wie, że do pewnego momentu coś to znaczy, a dalej musi się pojawić wilk, który zagada nazbyt ufną panienkę. Bo inaczej, jeśli zachowamy fabularną konsekwencję, skończy się jak w realu plan zdobycia Moskwy: zdobyciem Berlina.

Ciężko się zastanawiałem nad ową przedstawioną w URZE alternatywną historią. Jak ją potraktować? Oczywiście, że chodzi o poprawienie sobie humoru. Aby ów humor mógł się poprawić... No właśnie: trzeba założyć, że tak mogłoby być. Ja nie rozumiemy tego dosłownie, szczerze mówiąc, tak jak należy, to wyjdzie inaczej.

I tu wracamy do naszego Czerwonego Kapturka. Czytelnikowi historię ze złym wilkiem można opowiedzieć bez strachu. Czytelnik wie, że świat przedstawiony nie jest rzeczywisty i widzieć przedstawienie nie oznacza rozumieć rzeczy. Kultura jest także środkiem do przekazywania choćby dobrych rad. Kultura nie istnieje bez literatury, literatura piękna nie może trafiać do czytelnika bez owych środków wyrazu. No i rośnie nam pokolenie, które historię alternatywną rozumie dosłownie, jak gadającego wilka. I robi się problem: jak delikatnie wytłumaczyć endecko zorientowanej w tym wypadku panience, że powinna uważać?!